

No jazz no fun

Taksówka o północy. – Do „Sfery”? A no to już jedziemy. Na Jam session pewnie? No wiadomo, jamy są czasem lepsze od koncertów. To kwintesencja festiwalu. O widzi pani, ja tutaj też słucham sobie koncertu. Wie pani jak jest. My większość czasu w samochodzie i to jeszcze w oczekiwaniu na klienta. Coś trzeba robić. A bo ja skończyłem dwa stopnie szkoły muzycznej. W klasie fortepianu. Więc dla mnie muzyka ma wielkie znaczenie.

Ten przypadek nie jest odosobniony. Każdy taksówkarz wiedział, co to jest „Lotos Jazz Festiwal”, a każdy przechodzień potrafił wskazać, gdzie się odbywa. „Przepraszam bardzo – pytam przypadkowo spotkanej dziewczynki – nie wiesz, którądy do szkoły muzycznej?” „Jasne, że wiem. Właśnie stamtąd wracam”. To miasto żyje muzyką. I nie tylko w czasie trwania „Bielskiej Zadymki Jazzowej”.

Zadymka z klimatem

Przechadzam się po rynku w sobotni wieczór. Deszcz lekko siąpi, ale chyba nie dlatego na każdej kawiarence napis: „zamknięte”. Wokół mnie żywej duszy. W niedzielę przedpołudniem ruch wzmagają się jedynie, kiedy ludzie wychodzą z Katedry. A kawiarenki urocze. Świetnie zaaranżowane, z pomysłem. I na rynku trochę czystiej niż w innych rejonach miasta (roztopy robią swoje, a śnieg wiele potrafi przykryć). Życie w Bielsku przeniosło się jednak gdzie indziej. Trochę szkoda, bo przecież tutaj jest taki niesamowity klimat....

Ale klimat jest też w centrum handlowym „Sfera”. A może raczej „Klimat”, bo tak nazywa się klub-dyskoteka, w którym odbywa się większość koncertów w ramach festiwalu (w swej naiwności w pierwszej chwili myślałam, że galeria „Sfera” to galeria sztuki, zaś „Klimat” to klub jazzowy. Ale cóż – uczymy się całe życie). W „Sferze” mają miejsce wieczorne koncerty, nocne jam sessions, a także popołudniowe występy studentów katowickiej Akademii czy bielskiej szkoły muzycznej. Tam też można obejrzeć wystawę znakomitych zdjęć **Janusza Różańskiego** – galeria (słowo-klucz) postaci występujących na poprzednich edycjach „Zadymki”.

Pomysł jest znakomity. Zorganizować festiwal jazzowy w samym centrum społecznego życia. Na tak zwanej współczesnej ulicy, gdzie spacer po sklepach spełnia funkcję flanerystycznej przechadzki bez celu. Chyba nie ma lepszego sposobu na popularyzację niszowej muzyki jazzowej (co by nie mówić, muzyka ta wciąż uchodzi za elitarną). Kiedy rozmawiam ze studentami grającymi na scenie ustawionej przy samym wejściu do galerii, wydają się bardzo zadowoleni. „Rzadko kiedy mamy okazję grać przed tak wielką publicznością” – śmieją się. Ludzie przystają, a są też i tacy, którzy słuchają całego koncertu. Byłam zdziwiona, gdyż spodziewałam się raczej nikłego zainteresowania. Ale Bielszczanie żyją tym festiwalem. To w końcu niezwykła promocja dla miasta. Niecodziennie tak wielu obcokrajowców, gwiazd i po prostu ludzi z całej Polski zjawia się w Bielsku w tym samym czasie. Miasto zyskuje dzięki festiwalowi naprawdę niezłą renomę.

Teatr Absurdu

Organizacja „Bielskiej Zadymki” nie pozostawiała wiele do życzenia. Praktycznie żadnych przesunięć w programie, niewielkie – wliczone w specyfikę koncertów jazzowych – opóźnienia, pełna klasa i punktualność. Jan Ptaszyn Wróblewski, nestor sceny jazzowej i wieloletni gospodarz bielskiego festiwalu, dbał o to pierwsze, pozostali – o to drugie. Niestety odstępstwem od normy stał się w pewnym stopniu koncert galowy w Teatrze Polskim (tak, tak, Teatr również miał swoje pięć minut). Nie będę wspominać o „koncercie życzeń”, który miał miejsce na scenie tego dnia, bo wiele już na ten temat zostało powiedziane. Wszyscy musieli wejść na scenę i jakąś nagrodę otrzymać lub chociaż – wręczyć (wybaczcie, ale nie wspomnę o tym, jakie to były nagrody). Jednak moim zdaniem nie same – dość liczne, to prawda – podziękowania były problemem, ale raczej ich forma. Jeszcze koncert się nie zaczął, a na scenie już panował ogromny chaos. To zapraszamy. Albo nie. Teraz może zaprosimy kogoś innego. Tak prosimy. Ale nie, nie uciekajcie. Chodźcie. Albo może później. Najpierw wy... Istny Gombrowicz.

No jazz no fun

Tak, to było męczące. A szkoda, bo zmęczenie dawało się we znaki tak czy siak w związku z długim czasem trwania gali. Niestety wisienka na torcie w postaci koncertu **Marii Schneider & Silesian Jazz Orchestra** moim zdaniem została zbyt słabo uwydatniona, jako że występ rozpoczął się praktycznie o godzinie 23.00. Oczywiście koncert boski, muzyka piękna, a wykonanie równie znakomite. Należy zwrócić przede wszystkim uwagę na szeroki wachlarz brzmień, które Maria Schneider potrafi wydobyć z poszczególnych sekcji instrumentalnych. Uwagę przykuwają także wyraźnie wyczuwalne kontrasty dynamiczne i szeroka faktura instrumentalna. Wyrazy uznania z pewnością należą się sekcji (**Adam Kowalewski** i **Paweł Dobrowolski**, a na pianie **Paweł Tomaszewski**), wśród członków big bandu zaś warto wymienić **Grzegorza Nagórskiego** – puzonistę bardzo świadomego i świetnie odnajdującego się zarówno w roli muzyka sesyjnego, jak i solisty.

Nowa (sf)era jazzu

Tak, koncert galowy niewątpliwie był kwintesencją jazzu w czystej postaci. Niestety nie o wszystkich występach można tak powiedzieć. Ale cóż to właściwie jest jazz? – spytajmy. Największy festiwal jazzowy w Polsce powinien pomóc w odpowiedzi na to pytanie, a nie raczej nieustannie skłaniać do stawiania go sobie...

Wchodzę do sali. Nie ma krzesel. Wszyscy stoją. Zaczyna się niezle. Ale bez obaw – tak tylko się zaczęło. Potem było już tylko gorzej. Nagle na scenę wbiega zgraja mężczyzn w różowych trykotach – zespół „**No Jazz**”! Zaczęły się dziwne dźwięki, ni to jazzowe, ni elektroniczne. Coś w rodzaju dyskotekowego transu. Następnie pojawił się czarnoskóry DJ, który tak rozruszał publiczność, że wiele z jej damskiej części rozpoczęła taniec na scenie... Było bardzo gorąco i imprezowo. Przyznaję bez bicia – wychodziłam kilka razy i wracałam. Ale raz – po prostu nie wróciłam... Nie tego oczekiwałam. Wydaje mi się, że koncert ten był w pewien sposób niestosowny (i nie mówię tu o tym, że odbył się w pierwszy piątek Wielkiego Postu). Po prostu: nie ten czas, nie to miejsce (hm...). Owszem, młodzież dobrze się bawiła – choć współczuję tym, którzy zapłacili za bilet, a tą młodzieżą nie byli – ale czy idzie o to, by „Bielską Zadymkę” utożsamiać z dobrą zabawą, czy raczej z wysoką kulturą przekazaną w „strawnej” formie? Znamienne, że wchodząc na stronę festiwalu, właśnie ten koncert włącza się automatycznie jako pierwszy...

Inaczej było na koncercie **Conchy Buiki**. Choć on też raczej rozczarował, niż zachwyił, to klęską estetyczną nazwać go nie można. Owszem, gdyby nie Buika – wokalistka o surowym, etnicznym brzmieniu, posiadająca niewątpliwy feeling i charyzmę – niewiele by z niego pozostało. Komputer i cajon. Ale mimo to ten koncert to było wydarzenie. Piszę koncert, ale właściwie powinnam napisać: widowisko. Bo oprócz muzyki znaleźliśmy tam i taniec (zapowiadane flamenco?), i wiele innych elementów pozamuzycznych, jak interakcja między muzykami czy nieustanne zwroty do publiczności. Buika chciała bowiem przekazać jakąś historię – była autentyczna jako człowiek, ale i jako artysta. Nie śpiewała dla samego śpiewania, ani nie mówiła dla samego mówienia. Wszystkie te wymienione elementy tworzyły spójną całość i specyficzną atmosferę – egzotyizmu, niesamowitości i swego rodzaju głębi. Składały się przy tym na swoiste show, ale nie show w rozumieniu głupawego przedstawienia pozbawionego idei i sensu, przepełnionego tanim efekciarstwem, a raczej w rozumieniu widowiska intermedialnego. „Co ta wokalistka robi na festiwalu jazzowym?!” – słyszałam głosy. Ale ja bym się tak nie oburzała. Bo oprócz tego, że jej muzyka niewiele miała z jazzem wspólnego, to jednak niczym innym nie zawiniła. I utrzymała przynajmniej pewien poziom.

Pozostając w klimacie nie-jazzu, wspomnijmy jeszcze krótko o gruzińskiej kapeli **Zumbaland**. Cóż, mówią, że lepszy niedosyt niż przesyć. To znaczy, może warto było zakończyć festiwal koncertem sekstetu Jana Ptaszyna Wróblewskiego? Tradycji stało się zadość i koncert odbył się w schronisku na Szyndzielni. Fakt ten mógłby niejako usprawiedliwiać taki a nie inny muzyczny wybór, ale nie szukajmy usprawiedliwień. W moich preferencjach muzycznych daleko do folkloru, więc może dlatego jestem taka surowa. Uznajmy, że tak właśnie jest.

I jeszcze jedna kwestia się nasuwa. W odniesieniu do Buiki użyłam słowa „show” (jakoś nie chciało mi ono przejść przez gardło w przypadku zespołu „No jazz”, choć

No jazz no fun

oczywiście byłoby jak najbardziej na miejscu). Ale swoisty show pojawił się także przy okazji koncertu **Adama Bałdycha**. Oczywiście polegał on na czymś zupełnie innym, gdyż muzycy nie próbowali niczego nadrobić (u Buiki niestety coś takiego można było zaobserwować – jakby niedobór instrumentarium chciała nam zrekompensować dużą ilością elementów scenicznych) – na scenie pojawiły się same wschodzące, ale już uznane gwiazdy jazzu. Wszyscy znani z różnorodnych projektów i w tym wypadku pokazali klasę i wysoki poziom. Główna gwiazda wieczoru również. Co jednak właśnie nieco raziło, to swoiste efekciarstwo i dążenie do stworzenia show. Tak jakby wspomniana „gwiazda” sama siebie za gwiazdę również miała... Ale może to moje zbyt prywatne zdanie. Ogólnie – bardzo „nadziejnie”.

Od innej strony

Jeśli chodzi o prywatne zdanie, to mam też coś do powiedzenia w kwestii basistów, którzy przykuli moją uwagę. Chociażby taki **Sławomir Kurkiewicz**. Na dobre pozbył się swojego kontrabas i w zamian kupił sobie takie małe cudo a la Dave Holland. Trudno było nie zwrócić na niego uwagi. Po prostu się wyróżniał i – w dosłownym sensie – rzucał w oczy. Dlatego też jakoś bardziej koncentrowało się na jego grze. Niewątpliwie wielka indywidualność. Oczywiście cała szóstka („**Jan Ptaszyn Wróblewski Sekstet**”) to muzyczne tuzy, zatem cały koncert utrzymany był na bardzo wysokim poziomie. Wśród kompozycji znalazły się utwory mistrzów Wróblewskiego: Komedy, Trzaskowskiego i Kurylewicza, a na koniec zagrano znakomity postcoltrane’owski utwór Ptaszyna. Co do Kurkiewicza, to widać było, że wraz z **Marcinem Jahrem** na co dzień poruszają się trochę w innych rejonach muzycznych. Zauważalne to było zwłaszcza w formie bluesa – zdawało się, że dawno już takiego bluesika nie grali (co jednak nie miało żadnego przełożenia na muzyczny poziom).

Inna wyróżniająca się wielka indywidualność to z kolei kontrabasista **Bronisław Suchanek**. I znowu, w żaden sposób nie chcę tu umniejszać pozostałym muzykom, a już na pewno nie liderowi całego przedsięwzięcia, obchodzącemu 45. lecie pracy artystycznej, **Anrzejowi Zubkowi**, rodowemu bielszczaninowi (Bielsko górą – nie ma co do tego wątpliwości), który wychował dosłownie i przenośnie większą część obecnego pokolenia muzyków jazzowych. Suchanek po prostu sam się na plan pierwszy wysuwał. To akurat rzadkość, że kontrabasista gra tak wiele solówek w trakcie tak krótkiego koncertu. Do tego on miał pomysł na te solówki. Tam się coś działo, coś z czego wynikało, nie było grania dla samego grania.

Ostatni basista to laureat I miejsca w konkursie – członek „**Interplay Jazz Duo**” (miałam nadzieję, że to właśnie oni wygrają!), **Jędrzej Łaciak**. Kiedy podeszłam do niego po koncercie, nie bardzo wiedział, dlaczego do niego. Tak też zachowywał się na scenie. Zresztą jego współtowarzysz doli, **Kamil Urbański**, wprost powiedział: „Dziś jeszcze nie umiemy zachować się na scenie, ale za rok wszystko na pewno się zmieni!” Muzyka, którą wyczarowali, była piękna i intrygująca. Wszyscy zwracają uwagę na ich wzajemną współpracę – i ja również tak uczynię. Poważni, skupieni, bez żadnych scenicznych naddatków (drodzy Państwo, nie było show!). A przy tym pięknie. A basowa gitara akustyczna zdecydowanie przykuwała uwagę. Choć może lepiej by to brzmiało z kontrabasem, i tak brzmiało znakomicie. I ciekawie. A o to też przecież chodzi.

Zdaję sobie sprawę, że trochę przesunęłam akcenty. Ani słowa o **Archi Sheppie**, występującym przecież w bloku zatytułowanym „Geniusze jazzu” i odbierającym pierwszego wieczora Anioła Jazzu. Ani słowa o **Ambrosie Akinmusirze**, który pojawił się w drugim dniu festiwalu w części zatytułowanej „Nadzieje jazzu” i wzbudzał – obok Marii Schneider – najmocniejsze emocje. Niewiele wreszcie o samej **Marii Schneider**, światowej sławy artystce, która również Jazzowego Anioła odebrała.

Może jest tak, że o tym, co najpiękniejsze, nie można już nic więcej powiedzieć? Może człowiek boi się, że bańka mydlana pęknie? Że zniszczy się urok i piękno? Oni niewątpliwie nadali najwyższą rangę i podnieśli poziom tegorocznego festiwalu. Ale może z przekory, może z czegoś innego – zajęłam się właśnie tymi pozostałymi...